

MOJA TRAGEDIA NA NANGA PARBA

latarki widzę, jak oszronione, zmumifikowane przez mróz flagi modlitewne tańczą na wietrze.

Jestem zimą na Nanga Parbat, na szczycie góry, w której zakochałam się dziesięć lat temu! Nie wyjmuję z plecaka ani in-Reacha, ani GoPro – musiałabym zdjąć rękawiczki, a tego nie chcę, nie dam rady. Jestem przemarznięta do szpiku kości. Wolę poczekać, aż dotrze tu Tomek – wtedy uwiecznię tę chwilę, a przede wszystkim mocno się uściskamy. Nareszcie, nareszcie mamy naszą Nangę! Pragnęliśmy tego przez lata, tak bardzo chcieliśmy tu dotrzeć! Ten dzień był taki długi i taki trudny!

Jak zawsze, kiedy docieram na szczyt, przez kilka minut nie myślę o niczym, po prostu sycę się tymi niezwykłymi miejscami. W czasie wspinaczki czasem ogarnia mnie nie-pohamowana radość, przetaczają się przeze mnie lawiny uczuć, serce mi wali, krzyczę i płaczę z zachwytem. Na szczycie przeciwnie – nigdy nie daję się porwać emocjom. Panuję nad sobą, trzymam się ziemi, nieświadomie narzucam sobie tę zasadę, ponieważ wiem, że szczyt tak naprawdę osiąga się dopiero po zejściu na dół. Smakiem szczytu delectujesz się dopiero po powrocie do bazy, gdy minie zagrożenie i opadnie adrenalina. Tak jest za każdym razem.

Na razie myślę o zejściu, które będzie przecież jeszcze trudniejsze. Koniec nastąpi dopiero wieczorem, gdy dotrzemy do obozu IV, a właściwie jutro, kiedy znajdziemy się w bazie. Dopiero tam będziemy mogli mówić o szczycie, nie wcześniej.

25 stycznia 2018, szczyt Nanga Parbat, 8125 m n.p.m.



Czekam na przybycie Tomka, żeby uwiecznić tę chwilę i, co najważniejsze, przytulić go do serca. Po tylu latach wspólnej walki wreszcie spełniliśmy nasze marzenie. To najpiękniejsza rzecz dana nam w życiu. Tomek idzie powoli, lecz miarowo, widzę światło czołówki, lecz twarz ginie w cieniu. Dostrzegam tylko lśniący relief zmrożonych kryształków na jego prawym policzku. Na pewno jest przemarznięty i zmęczony. Wstaję, żeby go uściskać. Jego błękitne oczy ozdobione igiełkami lodu są bardzo blisko. Teraz, kiedy oboje jesteśmy na szczycie, zwariujemy z radości! Wołam:

– Tomek! Yessssss!

– Éli, co się dzieje z moimi oczami? Éli, nie widzę twojej czołówki, twój obraz jest rozmyty!

Ta sekunda trwa wieczność. Wszystko wokół zaczyna się chwiać. Robi mi się niedobrze, dusi mnie strach, nogi uginają się pode mną, są jak z waty. Słowa Tomka dudnią w mojej głowie. Chcę, żeby stamtąd wyszły, żeby ich nie było. Nie chcę słyszeć o tym, co nie do zniesienia, co nieodwracalne. Ale widzę przerażone oczy pod oszronionymi rzęsami, więc straszne słowa coraz głośniejsze dudnią w moim sercu i w głowie.

Przed chwilą dryfowałam w bajkowym śnie, teraz wpadam w czarną otchłań. To niemożliwe, to koszmar, zaraz się obudzę! To tylko umysł płata mi figle! Ale cała się trzęsę. Ogarnia mnie panika. Mój mózg robi przegląd sytuacji, których już w górach doświadczyłam. W ułamku sekundy skacze od nadziei do rozpaczy. Od iluzji do rozczarowania. Tomek oślepl na szczycie góry, która była jego Świętym Graalem! Zaciskam powieki, łzy natychmiast zamarzają, kamienieją. Przystaję widzieć, trę oczy. Kryształki lodu ranią jak papier ścierny.

Dzisiaj, gdy wspominam tamtą chwilę, najbardziej boli mnie, że Tomkowi nie dane było zobaczyć szczytu, który tak bardzo pragnął zdobyć. Jakby ukradziono mu Świętego Graala...

Jesteśmy zupełnie sami na wysokości 8125 metrów, a Tomek nie widzi! Co, jeśli nie będę w stanie mu pomóc? Jeśli nie zdolam go sprowadzić? Noc, ekstremalnie zimno i tak wysoko!

Jestem zdruzgotana. W ułamku sekundy wszystko się zmieniło, przełączyliśmy się na tryb „przetrwanie”. Ale co możemy tu zdziałać we dwoje? Musimy zejść. Muszę szybko zareagować. Staram się zapanować nad lękiem, muszę się ogarnąć, skoncentrować. Muszę być pragmatyczna. Muszę sobie z tym poradzić. Tak jak w 2015 roku, kiedy Tomek wpadł do szczeliny i krzyczał: „Éli”, „Eeeli”, „Eeeeli”, a echo powtarzało jego krzyk! Mam wrażenie, że znów to słyszę. Ale dziś jesteśmy na szczycie, na wysokości ponad ośmiu tysięcy metrów, od bazy dzieli nas 4200 metrów, ale najpierw tawers w górę za obozem IV.

Podchodzę do Tomka, obejmuję go. Przytulamy się i czas na chwilę staje. Ale zaraz wraca mi świadomość – trzeba szybko działać! Schodzić jak najprędzej. Muszę być oczami Tomka, jego przewodniczką. „Nie martw się, Tom. Weź mnie pod ramię i schodzimy”. Prawą ręką obejmuję jego ramię i odwracam go w drugą stronę, pod wiatr.

Próbuję go pocieszyć, uspokoić, chociaż sama umieram z przerażenia, bo nie mogę się dłużej oszukiwać – nadeszła katastrofa i to ja muszę sobie z nią poradzić. Musimy wyjść z tego żywi. Jediną nadzieją jest ucieczka w dół. To zajmie trochę czasu, ale przeżyjemy.

Chwytam jego lewą rękę i kładę na moim prawym ramieniu.

– Trzymaj się, Tom, trzymaj się mnie. Połóż rękę na moim ramieniu. Nie puszczaj mnie, powoli ruszymy. Nie martw się, będzie dobrze.

– Tak, Éli.

Jego głos brzmi okropnie. Boi się. Jest jak zagubione dziecko. W niewidzących oczach ma taką rozpacz!

Idziemy, serce wali mi mocno, w głowie mam watę. Przez pierwsze metry teren jest dość łaskawy, testuję go, stawiając ostrożnie kroki. Zimno przeszywa do szpiku kości. W twarz wieje nieustępliwy, lodowaty, nieludzki wiatr, mrużę oczy. Łzy natychmiast zamarzają na rzęsach, na policzkach. Przecieram oczy rękawicą, wzrok się zamazuje. „Jak się masz, Tom?”. Odwracam się. Twarz ma skamieniałą, jakby wyrzeźbioną z białosiniego marmuru. Obsypaną kryształkami lodu. Wszystko pokryte szronem – oczy, rudawy puszek na policzkach. „Tak, Éli. Jest mi zimno, ale w porządku”. Lęk odrobinę się zmniejsza, łapiemy rytm. Powoli, bardzo powoli, ale jednak schodzimy w dół, a każdy krok to zwycięstwo, to krok w stronę życia, w stronę bazy.

W tym mieszanym, śnieżno-lodowo-skalnym terenie muszę bardzo ostrożnie i starannie wbijać w podłoże zęby raków. Całą energię skupiam na precyzji moich kroków, kroków Tomka i na tym, żeby je ze sobą zestroić. Nie zastanawiam się, co dalej. Żyję tylko tym, co dzieje się tu i teraz. Schodzę delikatnie – pierwszy stopień, oparty na moim ramieniu Tomek nie może stracić równowagi. Każdy krok wymaga takiej koncentracji, że zapominam o mrozie. Wstrzymuję oddech, napinam mięśnie, żołądek mam ściśnięty, z całą ostrością dostrzegam najdrobniejszy ruch Tomka. Stanowimy teraz jedno. Staję się jego oczami, moje nogi są jego nogami, moje ramiona jego ramionami, prowadzi nas mój głos. Boję się zimna, jestem na wskroś przemarznięta i nie wiem, ile mój organizm jeszcze znieśie, zwłaszcza że poruszamy się w tempie siłą rzeczy tak powolnym.

Tomek wciąż wspiera się na moim ramieniu. Raz na lewym, raz na prawym, na przemian, zależnie od nachylenia terenu. Muszę znaleźć właściwe, skuteczne ruchy, a potem je powtarzać. Powtarzanie ruchów ćwiczę przecież od dzieciństwa. Do osiemnastego roku życia uprawiałam gimnastykę, uczyłam się, trenowałam, ćwiczyłam powtarzające się sekwencje, aby dojść do odpowiedniego gestu. Po pewnym czasie ta logiczna konstrukcja ruchów, możliwie najskuteczniejszych, staje się automatyczna. Stawiam jedną stopę, potem drugą, opieram się na czekanie, drugi przypięty do lonży. Potem powtarzamy to samo z Tomkiem, kontroluję jego kroki, jego ruchy, jakby były moje. I tak w kółko. Pojawia się rutyna, która pomaga mi na chwilę zapomnieć o wszystkim innym. Strasznie marznę, Tomek też. Posuwamy się bardzo powoli, ale schodzimy.

Znów kłębią się w głowie dręczące pytania: czy uda mi się sprowadzić Tomka po tym stromym stoku? Ile to zajmie czasu? Jesteśmy skostniaли z zimna, jak długo jeszcze wytrzymamy? Musimy dotrzeć do obozu IV, ale najpierw trzeba podzielić trasę na etapy. Jeden za drugim. Wyznaczam sobie cel, punkt do osiągnięcia. Gdy się udaje, wyznaczam następny. Przejść teren mikstowy. Następnie kuluar. Później się zobaczy. Pogodziłam się z faktem, że ta noc będzie długa i przerażająca. Mróz? Wiatr? Naszym jedynym ratunkiem jest ruch. Nie zatrzymywać się, schodzić, poruszać się we wszystkich kierunkach, przemieszczać się w głąb tej lodowatej nocy, przemierzać rozciągającą się przed nami ciemność. Muszę walczyć za niego, za nas oboje, muszę sprowadzić go na dół!

Jest mi potwornie zimno. Czasami muszę się zatrzymać, powyginać ciało w różne strony – kręcę koła ramionami, skaczę w miejscu, biję się po kolanach, żeby jak najwięcej krwi dopływało do kończyn. Rozcieram plecy Tomka. Zachęcam, żeby poruszał się jak najwięcej, bo wydaje się zmroźony, zmumifikowany. Dodaję mu otuchy.

Czołówka oświeśla niewiele. Wiem, że wokół jest pustka, zbocze, ale nie myślę o tym, skupiam się na tej odrobinie światła, na chwili obecnej. Chodzi o nasze przetrwanie. Ważne są kroki, które stawiam. Następnie kroki, które stawia Tomek. Nasze dwa ciała, które się równoważą. Koncentracja na chwili obecnej, na aspektach technicznych na chwilę odsuwa dręczące mnie wątpliwości i obawy, obsesyjnie skupiam się na kolejnych ruchach. Kolejne kroki, ręce w kontakcie, i znów to samo – nasze ruchy zazębiają się w niemal automatycznym rytmie.

Czas rozmywa się i rozciąga. Rozmawiam z Tomkiem tyle, ile mogę, na ile pozwala droga. Motywuję go, staram się dać mu nadzieję. Mówię o jego życiu w Irlandii, o jego dzieciach, o Annie, o szczycie i o tym, jak będziemy się rozkoszować ciepłem, gdy już wrócimy do bazy. Ale kontakt z nim jest słaby, odpowiada monosylabami.

Po przejściu terenu mikstowego dochodzimy do urzeźbionego przez wiatr śnieżnego kuluaru. Robi się nieco łatwiej, możemy przyspieszyć. Trzymam za sobą kijek, Tomek chwytą jego drugi koniec i sunie za mną. Uważam na wyprofilowane lodowe fale, czasem podobne do schodów. Cały czas kieruję Tomkiem; czasami go zatrzymuję, gdy spadek jest za duży.

Marznę. Narasta we mnie poczucie krzywdy. Co ja robię w tym piekle? Dlaczego Tomek jest w takim stanie? Nie mógł bardziej na siebie uważać? Czuję, że ta sytuacja jest strasznie niesprawiedliwa. Dlaczego mój partner od liny zawsze nawała podczas wyprawy? Dlaczego ciągle kończę w takim bajzlu? Gdzie się podziały wszystkie nasze zasady, reguły, których zawsze przestrzegaliśmy: wsłuchiwać się w siebie, zachować jasność umysłu, rozsądek, szanować własne ograniczenia i zawracać, gdy pojawią się pierwsze znaki ostrzegawcze?

Zapadam się w otchłań nocy. Patrzę do tyłu na Tomka – nie ma komina Buffa⁵, nos całkiem mu zsiniał. Wołam:

– Hej, załóż buffa z powrotem na twarz!

Ale Tomek ma problemy z oddychaniem, więc znów zsuwa komin. Zatrzymuję się.

– Tom, załóż to, nos ci odpadnie.

– Éli, nie mogę oddychać! Duszę się!

Jego słowa huczą i wirują w mojej głowie. Obrzęk mózgu? Mój Boże, czy zaczyna się obrzęk? Klnę na wiatr, wpadam w rozpacz, jestem przerażona – jak szybko pogarsza się jego stan! Znów ogarnia mnie panika.

– Éli, strasznie mi zimno w ręce.

Czym prędzej wyciągam apteczkę. Zdejmuję rękawiczki, wyciągam dawkę deksametazonu, silnego kortykosteroidu zalecanego w przypadku obrzęku mózgu, wyciągam strzykawkę. Rękawice wsuwam do kombinezonu, żeby zachowały

⁵ Wielofunkcyjny element ubrania hiszpańskiej firmy Original Buff SA – tuba z elastycznego materiału stosowana do ochrony przed złymi warunkami pogodowymi. Można założyć ją na szyję i zasłonić twarz, nos, można też jej używać jako opaski, czapki, kominiarki.

ciepło. Próbuję zrobić zastrzyk, ale po wbiciu w kombinezon igła się łamie!

- Tom, k..., co masz pod kombinezonem?
- Goreteks, mam warstwę goreteksu.
- Cholera!

Mam tylko jedną igłę w tym pudełku, to apteczka ratunkowa, inne zostały w obozie IV.

Grzebię w pudełku z lekarstwami, daję mu cztery cztery-stumiligramowe tabletki deksametazonu – to duża dawka, moim zdaniem adekwatna do jego gabarytów. Staram się postępować zgodnie z zaleceniami, które przed wyjazdem dał mi lekarz.

Wymieniamy rękawiczki. Tomkowi jest już odrobinę cieplej. Ruszamy. Oddycha trochę lepiej, ale nie na tyle, żeby wytrzymać w ochraniaczu na twarzy. Musimy jak najszybciej zejść z tej wysokości. To jest najważniejsze.

Ostra choroba wysokogórska, wysokościowy obrzęk płuc? Co dokładnie jest Tomkowi? Nie wiem, ale widzę, że jest bardzo źle. Kiedy zatkają się naczynia krwionośne ważnego narządu, takiego jak płuca lub mózg, wzrasta ciśnienie krwi i spada objętość osocza. Takie nadciśnienie prowadzi do śpiączki, w przypadku obrzęku płuc niszczy płuca, przy obrzęku mózgu – układ nerwowy. Obrzęk oznacza stan najwyższego zagrożenia, trzeba jak najszybciej zejść niżej, z nadzieją, że jeszcze nie jest za późno – ponieważ gdy dochodzi do obrzęku, mózg czy płuca zostają jakby utopione. Nie mamy przy sobie tlenu, który mógłby spowolnić nieuchronną retencję płynów i wzrost ciśnienia w płucach Tomka.

Popycham go, zachęcam, walczę. Byle w dół, byle stąd uciec. Nie przestaję do niego mówić. Nie wiem, czy rozumie moje rady, czy w ogóle je słyszy. Wydaje się zagubiony, jakby błędził gdzieś myślami, pogrążony w swoim cierpieniu. A zaledwie kilka godzin temu byliśmy tacy szczęśliwi.

Kontroluję jego ruchy, potem moje. Nieustannie obracam głowę, tam i z powrotem, z dołu do góry – przed siebie, na Tomka; przed siebie, na Tomka; przed siebie, na Tomka... Znow działam w trybie automatycznym.

Moja jedyna motywacja, moja mantra – dojść do obozu IV, potem do bazy, w końcu dotrzeć do domu. Przeżyć. Tomek zobaczy Annę, ja wtulę się w ramiona męża. Ten horyzont wydaje się nieskończenie odległy, ale gdy wszystko wokół się wali, to mój jedyny motor napędowy.

Zaczynamy schodzić kulaarem. Wbijam raki w śnieg. Żeby prowadzić Tomka, trzymam kijek za sobą, on chwytą drugi koniec. W drugiej ręce mam czekan. To mój jedyny sposób, żeby zatrzymać upadek, gdyby Tomek się poślizgnął. O wiele lepiej i wygodniej byłoby użyć liny. Tyle że nie mieliśmy żadnego powodu, żeby ją ze sobą zabrać... prócz tego jednego – wypadku.

Uświadamiam sobie, że nie schodzimy już tą samą drogą, którą wchodziliśmy. Idziemy, jest stromo, więc przemieszczamy się powoli, ale nie jest najgorzej. Jak tylko mogę, staram się podtrzymać Tomka na duchu. Jednak on jest wciąż nieobecny, prawie nic nie mówi, odpowiada tylko „tak” lub „nie”.

Wbijam w twardy śnieg czekan, potem zęby raków. Kolejny krok w dół. Tomek podąża za mną, ale nie ma już czekanów – co się z nimi stało?

Robi się bardziej stromo. Uspokajającą biel pożera otchłań nocy. Jesteśmy na dole kuluaru. Trudno rozpoznać cokolwiek poza tym. Zostawiam Tomka na półce skalnej i szukam najlepszego przejścia. Pamiętam, że na końcu kuluaru jest bariera skalna, więc musimy skręcić wcześniej. Kolejny raz zdaję się na instynkt. I dziesięć metrów niżej trafiam na miejsce, przez które da się przejść! Zapisuję w pamięci ścianę i trasę. Wyłączam czołówkę i pół minuty czekam w ciemności, żeby wzrok przestawił się na widzenie nocne. Teraz dostrzegam więcej. Nie jest źle, śnieżna rampa prowadzi nas z powrotem na stok. Jak najszybciej wracam do Toma. Nogi mnie pieką, dyszę, tracę kontrolę nad własnym ciałem. Mam wrażenie, że serce, zmuszone do takiego wysiłku, zaraz pęknie. Nie chcę tracić czasu, korzystam z okazji, aby się rozgrzać, ale tempo, które sobie narzucam, jest mordercze.

– OK, Tom, idziemy. Weź moje kijki, pójdziemy tak dziesięć metrów, a potem złapiesz mnie za ramię, jak na początku.

Trawersujemy strome przejście uformowane przez wiatry, pełne różnej wielkości nieregularnych wyrw i zasp, potem docieramy do terenu mikstowego. Muszę być bardzo uważna. Czasami ustawiam Tomka twarzą do ściany, żeby miał lepsze oparcie. Udało mu się pokonać najbardziej stromy fragment. Cały czas jestem przy nim. Idziemy do przodu. Schodzimy. Ale wciąż jesteśmy za wysoko. Podaję mu rękę i koordynuję kilka kolejnych kroków. Udaje się nam pokonać ten trudny

fragment. Wbijam ostrze czekana głęboko, żeby mieć solidne oparcie. W tym miejscu śnieg jest już mniej zbity, stok w końcu robi się łagodniejszy. Trawersujemy dalej, wreszcie dochodzimy do poręczówek. Mam przypływ optymizmu – za kilka godzin będziemy się grzać w naszych śpiworach.

Lodowaty nocny wiatr zmusza mnie do ruchu. Żeby się rozgrzać, wymachuję energicznie ramionami. Ile przy tej wichurze jest stopni? Minus 50, minus 60? Mniej? Nie wiem, ale temperatura odczuwalna w tych mroźnych podmuchach jest przerażająca – nigdy w życiu nie doświadczyłam tak przenikliwego zimna, na granicy ludzkiej wytrzymałości.

– Jak tam, Tom? Zimno ci?

– Tak! Jest mi zimno!

Energicznie pocieram jego plecy.

Analizuję teren. Wciąż jesteśmy wysoko, za wysoko. Musimy zejść. Ile tylko damy radę. Dzięki łączącej nas bardzo silnej więzi, dzięki automatycznym zachowaniom, które wypracowaliśmy podczas naszych wcześniejszych wspólnych wypraw, ten awaryjny tryb zejścia włączył się w sposób naturalny.

Tomek walczy. Jego wyczerpany, udręczony wysokością i mrozem organizm z minuty na minutę traci resztki sił. Gdy otwiera usta, zamarza mu język. Kiedy próbuje oddychać, lodowate powietrze pali jego płuca i gardło. Przygniata mnie żal, jego ból przeszywa mi serce. Jego ciało jest już tylko cierpieniem, a ja nie mogę nic zrobić, żeby mu w tym ulżyć.

Biorę głęboki oddech i odwracam wzrok od jego twarzy. Na szczęście ciemna noc odrywa mnie od trudnego

do zniesienia widoku Tomka. Myśli kłębią mi się w głowie. Idziemy dalej w ciężkiej jak ołów ciszy.

Nagle czuję się taka samotna, taka słaba.

Na zboczach u stóp piramidy szczytowej oświetlam Tomka moją czołówką. Ma zupełnie biały, pokryty szronem nos. Z ust cieknie mu krew. Ta krew mnie przeraża. W oczach wyczerpanie, cierpienie, strach. Wstrząśnięta, nie jestem w stanie już nic więcej powiedzieć. Pokazuje mi ręce, palce ma rozcapierzone jak szpony. „Éli! Nie mogę ich złożyć!”. Myślę, że oboje zdajemy sobie sprawę, że jego dłonie są stracone. W bazie, w oczekiwaniu na moment, gdy wreszcie będzie można wyruszyć, Tomek długo opowiadał mi o swoich przeżyciach z Nangi z 2015 roku, o cierpieniu po upadku w szczelinę, z której udało mi się go wydostać, o odmrożonych palcach u stóp. Za późno zaczął je leczyć, w rany wdało się zakażenie. Wiele wycierpiał i bardzo nie chciał ponownie do tego dopuścić. „Nie mogę już mieć odmrożeń – mówił. – Potrzebuję rąk do pracy. Inaczej nie będę w stanie nic zrobić!”.

Mróz jest straszny, Tomek nie przestaje się trząść. Mocno go obejmuję i przytulam.

Prosi mnie o kolejną pigułkę, inaczej nie da rady iść. W bazie pokazał mi małą, zaokrągloną pastylkę i wyjaśnił: „Ten lek pomaga, gdy już nie możesz iść”. Nie była to, jak na początku sądziłam, amfetamina, ale jakaś inna substancja pobudzająca.

Próbuję go uspokoić. „Tomek, musimy schodzić. Złap mnie za ramię i zejdziemy do poręczówek”. Trzymam go, bo

może podpierać się tylko ramieniem, jego dłonie są bezużyteczne. Idziemy trawersem. Dla bezpieczeństwa wpięłam go karabinkiem, siebie też – tak dotarliśmy do końca poręczówek. Tomek jest skrajnie wyczerpany. „Tom, każdy metr do przodu to zwycięstwo, obóz coraz bliżej. Chodź, bądź dzielny!”. W głowie mam pustkę. Muszę koncentrować się na tym, co za chwilę. Muszę działać dalej, ale nie daję rady. Widzę tylko twarz Tomka, nie mogę się pozbyć tego przerażającego obrazu. Boże, zrób coś!

Dociera do mnie, że nie zdołamy dotrzeć do namiotu. Jesteśmy na wysokości 7522 metrów. Dalibyśmy radę schodzić, ale nie trawersować, nie wspinać się w kierunku lodowca Diama. Tom nie może, już nie jest w stanie. Jesteśmy w pułapce, w tej pułapce, o której tyle myślałam w bazie, o której tak długo dyskutowaliśmy. W głębi duszy wiem też, że jeśli się zatrzymamy, to będzie koniec – już się nie podniesiemy. Płynąca z ust Tomka krew budzi moje przerażenie. Jeśli nie zorganizuję dla niego pomocy, zamarznie tutaj uwięziony na Nandze. Zawsze radziliśmy sobie sami, świadomi ryzyka, jakie podejmowaliśmy, wybierając styl alpejski, idąc na lekko. Ale teraz nie dbam o nasze zasady, po prostu muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby go wyrwać ze szponów tej góry. Muszę wezwać ratunek, to mój obowiązek, dla Tomka to sprawa życia i śmierci. Łamię kodeks, nasz wspólny kodeks, ale tak boję się o niego, o jego życie.

Godzina 23.10. Wysyłam wiadomość do męża i rozpaczliwy apel do Ludovica: „Tomek need rescu soon frosbite and

he didn't see nothing please manage something with ali sooner as you can [Tomek pilnie potrzebuje pomocy ma odmrożenia nic nie widzi proszę zorganizujcie coś z Alim jak najszybciej]. Wysokość: 7522 m”.

Wysłałam też wiadomość do Anny i Altafa, pakistańskiego wojskowego przebywającego w obozie bazowym.

Ludo odpowiada natychmiast: „OK”.

Od razu czuję się inaczej. Nie jestem już sama, inni też pomogą Tomkowi. Jean-Christophe, Anna i Ludo są z nami. Na zmartwiałej twarzy Tomka pojawia się cień nadziei. Wracam myślami do dyskusji z Tomkiem, Alim i Danielem o ratownictwie górskim w Pakistanie, o tym, do jakiej wysokości da się tutaj dotrzeć. Loty rozpoznawcze na ponad siedmiu tysiącach metrów na Gaszerbrum I i nad grań Mazono zakończyły się powodzeniem. Ale wylądować śmigłowcem? Przeprowadzić akcję ratunkową? Przy takim wietrze, w tej temperaturze? Mówię Tomkowi, co myślę. Jesteśmy za wysoko, musimy jeszcze trochę zejść. Czekam na wieści od Ludo.

Jean-Christophe wysłał mi pocieszającą wiadomość i uprzedza, że Ludo będzie przekazywał wiadomości – że bym nie dublowała informacji, nie marnowała baterii. Ludo będzie łącznikiem między Europą, Pakistanem i mną.

Teraz nie czuję się już tak samotna. Odzyskuję odrobinę energii, tak nam obojgu potrzebnej. Prócz strasznego obrazu Tomka i jego odmrożeń w mojej głowie na małą chwilkę, na ułamek sekundy pojawia się nadzieja. W cząsteczce, która zdawała się ściśnięta w imadle, czuję wreszcie odrobinę

powietrza. Nie jesteśmy już tak zupełnie sami w walce z groźną górą. Anna wysłała Tomkowi pozytywne vibracje, Jean-Christophe koi moje nerwy czułymi, uspokajającymi słowami, Ludo prowadzi mnie i informuje.

Mimo że jesteśmy tu sami, w straszliwym mrozie, w przerażającej nocnej ciszy, przestała mnie aż tak przygniatać świadomość odosobnienia.

Nowa wiadomość od Ludo: „Organizujemy, nie narażaj się, schodź, jeśli trzeba”. Odpowiadam natychmiast. „Dzięki jesteśmy w dupie zamarzam i strasznie boję się o Tomka”. Znowu zaczynamy schodzić. Teren jest łatwiejszy, a co najważniejsze, mogę wpiąć nas do poręczówek. Trzymam Tomka za łokieć, nie chcę urazić jego odmrożonych dłoni. Mówię mu o akcji ratowniczej, którą organizuje Ludo. Ale oboje wiemy, że wciąż jesteśmy o wiele za wysoko, żeby odebrać nas helikopter.

Mogę schodzić, prowadząc Tomka i czytając SMS-y od Ludo. Ale nie mogę na nie odpowiadać. Nie ma mowy o zdjęciu rękawic, palce zamarzają w pięć sekund.

Ludo próbuje mnie uspokoić. 23.27: „Jestem w kontakcie z Alim. Próbuje to zorganizować. Na 100% gotowość jutro rano”. Ale minutę później nowa wiadomość: „Możesz zejść sama? Oprócz Alego staramy się znaleźć inny ratunek”.

Mija piętnaście minut. Tomek jest u kresu sił, potrzebuje przerwy. Sadzam go na wierzchołku śnieżnej fali, nie jest już w stanie kucnąć. Opiera o mnie głowę, własnym ciałem chronię go od wiatru. Nie pojmuję tego, co pisze Ludo. Przecież nie zostawię Tomka!

Dla niego wezwałam ratunek, to nie ja jestem w niebezpieczeństwie, tylko on! Trzeba mu pomóc, jak najszybciej musi znaleźć się na dole. Dlaczego Ludo każe mi iść samej?

Odpisuję : „Nie zostawię Toma”, „dla mnie to kicha, lodowiec jest za daleko dla Toma”. Ucinam dyskusję, lodowiec jako opcja odpada. I tyle. Priorytetem jest Tomek.

Wyłączam inReacha. „No już, kochany, idziemy, trzeba się ruszyć, inaczej nie da rady. Musimy iść, Tom. No chodź!”. Ale on ani drgnie. „Chodź, Tom! Chodź!”. Pomagam mu stanąć na nogi. Cierpi, jęczy. W duchu cały czas się modłę. O to, żeby się dało go uratować, żeby się dało ulżyć mu w cierpieniu. Wpinam karabinek Toma do poręczówki, łączę jego uprząż z liną za pasek – jest zabezpieczony na wypadek upadku. Poręczówka jest widoczna, nie zakopała się pod śniegiem, można jej użyć. Niewiarygodne szczęście trafić na coś takiego w środku zimy! Znow przystępujemy do schodzenia.

Wiatr pracowicie wyrzeźbił w śniegu figury. W świetle czołówki ujawnia się śnieżna zaspą o wysokości dobrego metra. Pomagam Tomowi zejść, choć z trudem dźwigam jego ciężar. Dwa kroki do przodu i znow bolesna przeprawa – dopiero z trudem zeszliśmy, a już trzeba się wdrapywać. Wchodzenie do góry jest dla Tomka prawie niemożliwe. Rakami formuję w śniegu stopnie, żeby stworzyć dla niego wygodną drogę. Stoję przed nim zgięta wpół i podtrzymuję go oboma ramionami. Ciągnę z całej siły. Na próżno. Nie jest już w stanie opierać się na palcach nóg.

Muszę to zrobić inaczej. Znow schodzę. Wycinam stopnie czekanem. Mam nadzieję, że są wystarczająco szerokie, żeby

mógł postawić całą stopę. Tom usiadł i czeka. Opuścił głowę, ramiona złożył na piersi, kolana przyciągnął do ramion. „Tom! Tooom!” Z najwyższym trudem unosi głowę. Strużka zamrożonej krwi zwisa z dolnej wargi i osiada czerwonymi kryształami na brodzie. Czas się zatrzymuje. Każda sekunda trwa wieczność. Serce wali mi tak, że aż dudni w uszach. Kucam obok Tomka, lewą rękę kładę na jego głowie, prawą obejmuję go pod pachą. Przyciągam jego głowę do mojej, czołem opieram się na jego kapturze. Milczę przeżona – sytuacja jest upiorna. Spomiędzy skamieniałych od mrozu szczęk Tomka wydobywa się szept: „Éli, już nie mogę, muszę się zatrzymać. Muszę odpocząć”.

Trzeba coś wymyślić. Nie jest tak jak w 2015 roku, kiedy udało mi się wyciągnąć go ze szczeliny i sprowadzić w dół. Teraz Tomek jest tak wyczerpany, że nie robi już ani kroku. Ledwo mówi, z trudem oddycha, krew kapie mu z ust na brodę, na ubrania. Czuje okropny ból w stopach i dłoniach. Jest u kresu sił.

– OK, Tom, poszukam jakiejs dziury, gdzie się schronimy. Musimy jakoś się schować przed tym wiatrem i mrozem. Ale najpierw trzeba przejść tę lodową ściankę. Za nią coś znajdę, nie martw się.

Wiem, że wymagam od niego nadludzkiego wysiłku.

Podnoszę go z wielkim trudem, chwieje się, nie jest w stanie się mnie trzymać. Wydaje się taki zagubiony, pogrążony w cierpieniu i rezygnacji. Właściwie już nie reaguje. Obejmuję go, podtrzymuję, znow tłumaczę, co trzeba robić. „Tom, będę za tobą. Musisz zrobić trzy kroki. Będę cię



popychała od tyłu. Nie bój się, nie puszczę cię”. Obracam go w stronę ściany. Ma podnieść lewą stopę i postawić ją na stopniu. „Tom, oprzyj się na lewej stopie, pomogę ci się podnieść. Raz, dwa, trzy – hop!”. Tomek się podnosi. Ledwie mam czas oprzeć jego pośladki na moim ramieniu. „Przechyl się do przodu, Tom! Przechyl się do przodu!”. Przechyla się i odciąża moje ramię. Mogę teraz chwycić jego prawą stopę i ustawić na drugim stopniu. „No już, przesun prawą stopę, Tom! Na prawo”. Wspiera się łokciami na śniegu, obie stopy stabilnie stoją na stopniach. „Tom, przechyl ciężar ciała na prawą stronę! Na prawo, Tom!”. Nie jest w stanie tego zrobić. „Dźwignij się z tej strony, Tom, podnieś nogę. Tę, na której czujesz moją rękę”. Przemieszcza swój ciężar, mogę złapać go za stopę i postawić ją na ostatnim stopniu. Ostatni krok jest łatwiejszy. Nachylenie stoku pozwala umieścić na nim prawe kolano. Pomagam mu, popychając jego plecy. Klęczy teraz na śniegu, osuwa się, dusi, jęczy. Ja wymachuję rękami i nogami we wszystkie strony, żeby się trochę rozgrzać. Jest tak zimno! Stopy uwięzione w aluminiowych foliach – za żadne skarby nie powinnam była ich zakładać – są zamrożnięte!

Przez kolejne trzydzieści metrów w dół jest łatwiej, Tomek będzie mógł zejść sam, a ja w tym czasie zrobię rekonesans. Przypinam go do liny i wyjaśniam, co ma robić.

– Tom, idę zobaczyć, co jest niżej. Dasz radę zejść, teren jest gładki. Nie ma zasp. Lina jest napięta. Przytrzymuj ją przedramionami i idź tak, jak prowadzi.

Z jego ust wydobywa się jakiś dźwięk. To nie jest ani „tak”, ani „nie”, ani „OK”. Po prostu dźwięk.

Schodzę w dół, sprawdzam kilka szczelin, ale do niczego się nie nadają. Schodzę jeszcze jakieś sto metrów niżej i znajduję jedną, skierowaną w stronę Diamiru, wejście do niej jest łatwiejsze. Badam ją – w środku jest dziura, w której będzie się można schronić. Wracam po Tomka. Wyczerpany siedzi na śniegu. Ręce skrzyżowane na piersiach, kolana zgięte, głowa zwisa w dół. Nie poruszył się. Podnoszę go i przytrzymuję. Chwieje się, ale idzie. Dzięki ci, Boże!

Spuszczam go do szczeliny, trzymając za ramiona. Ale jest taki ciężki, a ja taka mała, nie mam dość siły, żeby go utrzymać. Wysuwa mi się z rąk, nic nie mogę poradzić, spada! Na szczęście nie jest zbyt wysoko, najwyżej półtora metra. Śnieżny materac amortyzuje upadek. Tomek leży płasko na plecach, bezpiecznie, nie ześlizgując się w stronę czarnej paszczy szczeliny. Dołączam do niego, stawiam go z powrotem na nogi. Zdejmuję plecak, rozkładam go na ziemi, siadam na nim. Wreszcie jesteśmy schowani przed wiatrem. Tom kładzie się na moim zgiętym kolanie. Zasłaniam jego plecy wyciągniętą drugą nogą. Głowę trzyma na moim udzie.

Nic nie mówi, dalej cały się trzęsie. Tulę go do siebie, mówię do niego, ale nie odpowiada. Zamknął oczy, więc daję mu odpocząć. Jest skonany. Trzymam go w ramionach. Może być czwarta rano, jesteśmy na wysokości 7282 metrów. Po dobrej chwili wreszcie zaczynam czuć, że robi się cieplej. Słyszę tylko jego nierówny, rwany oddech i świst wiatru, którego pęd hamuje krawędź szczeliny. Wiem, że czas nagli, że nasze minuty są policzone. Że tylko cud może go uratować. Dał z siebie wszystko, wykorzystał resztkę sił, żeby tu



dotrzeć, ale jego twarz, dłonie, stopy skamieniały z mrozu. Twarz zastygła, zamieniła się w upiorną maskę. Tomek już dawno przekroczył granicę. Nie mogę tego znieść.

Tamtej nocy byłem świadkiem jednego z najbardziej przerażających i wzruszających przejawów odwagi i wytrwałości, na jakie człowiek może się zdobyć, żeby przetrwać.

Duszę się w tej szczelinie. Nogi ściśnięte klatką piersiową Tomka całkiem ścierpły. Muszę wyjść. Kładę go na plecaku, zakładam mu kaptur na głowę i zmartwiałą twarz. Wchodzę do góry. Siadam na śnieżnej rampie, włączam telefon i czytam wiadomość od mojego męża. Robi mi się ciepło na sercu. Wiadomość od Anny też jest uspokajająca, kojąca: „Tomek przeżyje. Rób dla niego, co możesz, ale wierzę w niego, wierzę w was”. I jeszcze: „It will be fine, Eli, organizing helicopter, organizing help”. „Eli, will be fine please help him! do you have medicine?”. Odpowiadam: „Yes we have medicine, we already use dexta and other medicine. But will be great if tomorrow he can fly. I'm worried about him”. „Anna I'm doing my best for him, and my friend organizer rescue for him”.

Kolejne wiadomości od Anny: „Thx you. Me too. What can I do?”, „Tomek will be fine, don't worry. He will be ok. He will survive. I trust in Tom, in you, in both of you”.

„Thx Anna. I'll share all your positive vib for Tom”.

Ludo pisze o tym, jak organizują pomoc. „Śmigłowiec ok, wyłącza między godz. 10 a 11. Myślimy o tobie. Love. Pij

jedz ruszaj się”. „Staramy się o pomoc na dole + Embassy. Army. Helico. You're not alone. Go down”.

Kładę się na pochyłej śnieżnej rampie pod krawędzią wejścia do szczeliny, zaraz nad Tomkiem. Noc wciąż całym swoim ciężarem przygniata górę. Patrzę na niebo, szybuję w stronę wzywających mnie gwiazd. Marznę, arktyczny wiatr bije mnie po twarzy, zamarzają mi policzki, lodowacieją myśli i zmysły. Ale nie mogę znieść widoku twarzy Tomka, jego odmrożonego nosa, krwi płynącej z jego ust. Muszę się tu odizolować i pomyśleć. W jaki sposób mogłabym mu pomóc? W jakim stanie będzie za kilka godzin? Ratowanie ludzi na tych wysokościach to niezwykle skomplikowane zadanie, zwłaszcza że jest nas dwoje. A teraz, gdy Tomek nie może zrobić ani jednego kroku, sama już nic nie poradzę. Ogarnia mnie głęboka rozpacz.

Ze zgrzyoty nie mogę zmrużyć oka, lęk przeszywa moje myśli jak prąd. Siecze mnie bezlitosny wiatr, lodowe ostrza biczą twarz, śnieg wdziera się w najmniejszą szczelinę.

Mijają minuty, godziny, wszystkie takie same. Nie wiem, czy czas mija szybko, czy się wlecz. Jestem zła na siebie, nie rozumiem chronologii wiadomości od Ludo, które znowu czytam.

„Climbers from k2 comes with 1 helico in case of. 2 śmigł. zabierze was stąd gdzie jesteście. Share me position”.

Odpowiadam sucho: „Super, zamarzam na krawędzi szczeliny, pewnie mam odmrożenia, jutro wyślę pozycję GPS”. Godzina 5.30. Wyłączam inReacha.

Zgaduję, że nadchodzi dzień. Na Ganalo Peak zaczyna majaczyć cień Nangi. Na horyzoncie rozsnuwa się różowy pył, szczyty zapalają się jak lampki na choince jeden po drugim, a gwiazdy gasną. Niezwykłe widowisko. Świt ożywia moje przemrożone, odrętwiałe ciało. Biję się po udach, energicznie rozcieram mięśnie.



26 stycznia 2018



Wstaje kolejny dzień. Czekając na pomoc, muszę się zająć Tomkiem. Jest zmarznięty, spragniony, muszę dotrzeć do obozu IV i przynieść parę rzeczy: kuchenkę, materac, namiot, śpiwór. Schodzę z powrotem do szczeliny, on drzemie. „Tom, Anna cały czas jest przy tobie myślami. Wierzy w ciebie. Wysła ci całą swoją miłość, ciepło i pocieszenie. Nie jesteś sam, Tom, ona jest z tobą, przy tobie. Ludo, Anna, Jean-Christophe robią, co mogą, żeby nas stąd wydostać”. Tłumaczę mu, że organizowana jest pomoc.

Ale tak naprawdę wiadomości, które dostałam, są bardzo niejasne. Nie do końca rozumiem, jak wyglądają przygotowania do akcji. Ludo napisał o pierwszej w nocy, że helikoptery przylecą rano, koło dziesiątej lub jedenastej. „Zejdź jak najniżej” – dodał. Ale dwie godziny później

